Nr. 17 We Lwowie, 1 września 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Chrońmy kuropatwy przed zimą!

Ostatnia, ciężka zima zniszczyła w 80 conajmniej procencie stan kuropatw w Polsce. — Cały więc prawie powojenny nasz dorobek poszedł znowu na marne. Hodowca myśliwy stanąć w swej pracy kulturalnej nie może; musi poczynać ją na nowo. Zastanowić się jednak mu trzeba, czy rozporządzać jest w stanie jakiemiś pewnemi środkami, któreby w razie powtórzenia się srogiej zimy zapobiec mogły podobnej klęsce.

Ratować trzeba przedewszystkiem to, co jeszcze jest do uratowania. Sprowadzanie obcych kuropatw do rewirów daje zwykle nikłe bardzo rezultaty, gdyż kuraki te posiadają charakterystyczny przymiot przywiązywania się do stron rodzinnych, wskutek czego wypuszczone w okolicach dla siebie nowych, odlatują daleko, szukając miejsc, skąd pochodzą i niweczą usiłowania aklimatyzacji. Swoje własne natomiast kuropatwy wypuszczać może hodowca, spokojny, że daleko nie odlecą i uścielą gniazda w swych stronach rodzinnych. Dlatego też jedynym skutecznym środkiem u nas, wobec ostrości naszego klimatu, służącym do ochrony kuropatw w zimie i ich rozmnoży, jest ich wyłapywanie w jesieni, przetrzymanie przez zimę w woljerach i wypuszczanie na wiosnę. Trzeba się też naturalnie i zaopiekować kuropatwami, które pozostały w zimie na wolności w rewirze, przez zakładanie remiz w otwartych przestrzeniach pól, budek, w których sypie się im ziarno, wreszcie przez tępienie drapieżników, kłusowników i sidlarzy.

Pewnym jedynie, powtarzam, sposobem ochrony i utrzymania kuropatw przez zimę jest tylko wyłapywanie ich w jesieni. Niech tylko każdy z właścicieli rewirów przezimuje kilka par tych ptaków, to będzie miał tyleż stadek na przyszłe lato.

Wyłapywanie kuropatw odbywa się w jesieni, kiedy jeszcze łany kartofli są nie wykopane i ptaki te chętnie się w nich kryją. Później, gdy ptaki te stają się już „harde“, i przebywają po oziminach, łowienie ich w sieci jest rzeczą bardzo trudną. Opisywanie na tem miejscu sposobów łowienia kuropatw i przechowywania ich w woljerach przez czas zimowy, uważam za zbyteczne. Zajęłoby to za wiele miejsca i czasu i byłoby powtarzaniem tego, o czem znakomici nasi autorowie hodowcy wyczerpali temat zupełnie. To też interesowanych odsyłam do znakomitej pracy Wiktora Stephana: K u r o p a t w a, Warszawa, Nakładem Łowca Polskiego.

Autor opisał w niej najdokładniej wszystkie sposoby łowienia tych ptaków, z wyszczególnieniem i rycinami potrzebnych sieci i innych przyrządów. Polecam też i drugie dziełko traktujące o kuropatwie, polskiego autora. Jest niem Juljana Biesiekierskiego: K u r o p a t w a s z a r a, c z y l i p o s p o l i t a, wydana również nakładem Łowca Polskiego.

A. M.

H. TARNOWSKI

Z wystawy łowieckiej w Budapeszcie

Pociąg Bogumin-Budapest idzie przez jedną z najpiękniejszych okolic dawnych Węgier, dziś Czechosłowacji, przez dolinę Waagu. Szeroka, bystra, modra jego wstęga wije się w wąskiej dolinie okolonej niezbyt wysokiemi, ale stromemi i niezmiernie malowniczemi górami, porosłemi poważnym, przeważnie jodłowym lasem. — U ich stóp rozkładają się miasteczka i wsie o ładnym, typowo górskim odwiecznie rodzimym charakterze budowli z pięknemi, nieraz bardzo nawet pięknemi kościołami. A wśród nich w ilości, jaką jedynie nad brzegami Renu widzieć można, porozrzucane są zameczki i zamki obronne. Większość ich jest dziś w ruinie, niektóre jednak przetrwały dotąd w szacie niezmienionej od czasów średniowiecza, jak groźny a uroczy, nad samym brzegiem Waagu położony Budetin, niedawno z całym pietyzmem odrestaurowany przez właściciela. Właściciel, hr. Geza Csaky umie połączyć wytworność datującą nie to z przed wielkiej wojny, ale chyba to z przed wielkiej rewolucji z prastaremi, pierwotnemi instynktami, co grają w duszy myśliwca. Jestto „myśliwy wielki przed Panem". W roku 1924 zabił u siebie odyńca, który ważył niewypatroszony autentycznie 347 kilogr., a w ostatnim swym boju ściął śmiertelnie dwa psy i zranił ciężko łowczego, śpieszącego im na ratunek.

Ale przeważnie zamki te nie leżą, jak Budetin w dolinie, lecz szukają jak najbardziej stromych, trudno dostępnych gór i przywarłszy do ich szczytów, jak prawdziwe orle gniazda, panują nad tą okolicą swym wdziękiem surowej powagi i malowniczości zarazem, tak jak niegdyś panowały nad nią swą potęgą. A wśród nich ogromem i architektoniczną pięknością przoduje Trenczyn, niegdyś siedziba rodu Komorowskich, co w połowie XIII wieku otrzymał od Beli IV tytuł hrabiów na Liptawie i Orawie.

Poza Trenczynem dolina Waagu rozszerza się, góry stają się coraz mniejsze, stopniowo wjeżdża się w zupełną prawie równinę, jedną z najurodzajniejszych w środkowej Europie. Okolica ta, to jeden wielki argument przeciw „reformie rolnej", którą tu Czesi stosowali z całą bezwzględnością celem osłabienia elementu węgierskiego. Przejeżdżam przez dawne, dziś rozparcelowane latifundja wielkich rodzin węgierskich, jak Galgocz Erdödy'ch, Totmegyer Karolyi'ch, Ürmeny Hunyady'ch, niedawno osierocone przez właściciela, który życie pełne wspaniałych tryumfów łowieckich zakończył pod pazurami lwa. Boże zmiłuj się! Z folwarków zabudowanych tak, że u nas nawet w Poznańskiem zaledwie takie spotkać można, pozostały literalnie gruzy. Każdy z parcelantów otrzymał pewną ilość metrów kwadratowych zabudowanej powierzchni dla wybudowania swojego osiedla. Niektórzy z nich porozbierali swoje części, inni jeszcze nie, i stoją dziś na miejscu przepysznych zabudowań gospodarczych zwaliska takie, jakby nad tym krajem dopiero co przeszła groza wielkiej wojny. A rola? Jakkolwiek na Słowaczyźnie włościańska uprawa roli stoi daleko wyżej, niż u nas, to jednak, przejeżdżając przez pozostałe z wielkiej własności „maxima" i porównując z niemi części rozparcelowane, widzi się w pełni, jaką straszną szkodę przyniosła tam produkcji rolniczej „reforma rolna".

Nazajutrz po przybyciu do Budapesztu, poszedłem na wystawą łowiecką do Vajda-Hunyad. Jestto kopia zamku wielkiego Jana Hunyady'ego, położonego w Siedmiogrodzie, w której mieści się bodaj, że unikat w Europie, niezmiernie ciekawe muzeum rolnictwa. W jednej z sal wolnych umieszczona została wystawa łowiecka. Obejmuje ona jedynie trofea zdobyte w roku 1928 i to tylko na dzisiejszych Węgrzech, to znaczy na równinach, w najlepszym razie na górkach tej mniej więcej wysokości, co Bielany pod Krakowem.

Wszedłszy, znalazłem się wprost przed sześciu pierwszemi na wystawie wieńcami jeleniemi... i oniemiałem. W najśmielszych nie to oczekiwaniach, ale marzeniach, nie mogłem się spodziewać, że ujrzę w takiej ilości takie jelenie, pochodzące z jednego roku i to nie górskie.

Podaję poniżej wymiary tych sześciu najwspanialszych wieńców z ogólnej liczby 47 według katalogu wystawy.

Szesnastak Hr. Krzysztofa Festetits'a, nagroda pierwsza, ma 117 cm wysokości (przeciętną z wysokości obu pni), wagi z małą czaszką 10,90 kg, długość odnogi ocznej 44,75 cm, obwód róż (przeciętna z obwodu obu) 30,50 cm, obwód pni między odnogą oczną a środkową: prawy pień 17,75 cm, lewy 16,75 cm, obwód pni między odnogą średnią a koroną prawy róg 17 cm, lewy 16,75 centymetrów.

Nagroda druga, według węgierskiego liczenia dziewiętnastak, według naszego nierówny dwudziestak Pana Rimlera, ma przy 113 cm przeciętnej wysokości 98 cm rozpiętości rogów. Obwód róż przeciętna 27,75 cm, obwód pni między odnogą oczną a średnią 18,25 na prawym i 17 cm na lewym pniu, długość odnogi ocznej 40,50 cm, waga z małą czaszką 10.20 kg.

Trzecia nagroda 17-tak, po naszemu nierówny ośmnastak, Księcia Augusta Hohenlohe ma 120 cm wysokości przeciętnej obu pni, 29 cm obwodu przeciętnego róż, 39 cm długości odnogi ocznej i 10,50 kg wagi z małą czaszką.

Nagrodę czwartą pośród jeleni ubitych w roku 1928, otrzymał 15-tak (nierówny szesnastak) Regenta Horthy'ego. Jest on podobny, jak rodzony brat, do szesnastaka z kolekcji Dzikowskiej, pamiętnego zapewne czytelnikom „Łowca", gdyż otrzymał on na wystawie lwowskiej pierwszą nagrodę między jeleniami nizinnemi, zabitemi w nieograniczonym czasie. Ustępuje on nieco swemu polskiemu sobowtórowi jedynie wysokością, która w przeciętnej wynosi 98 cm. Ale zato ma 27,75 cm obwodu przeciętnego róż, 36 cm długości odnogi ocznej, 18,75 i 19 cm obwodu pni między odnogą oczną a śred-

nią oraz 18 i 20,50 cm obwodu pni między odnogą średnią a koroną. Waży z małą czaszką 9,70 kg.

Nagroda piąta, 16-tak Księcia Augusta Hohenlohe ma 127 cm wysokości i 98 cm rozpiętości przy 42,75 cm długości odnogi ocznej i 24,75 cm przeciętnego obwodu róż.

Nagrodę szóstą otrzymał Hr. Bertalan Szechenyi za 16-taka o 121 cm przeciętnej wysokości, 40 cm długiej odnodze ocznej, 25,50 cm obwodu przeciętnego róż i 9,70 kg wagi z małą czaszką.

Wagi wieńców podane są nie według tego, co w dniu zabicia jeleni ważyły, lecz według ważenia podczas konkursu wystawowego.

Przyznają mi chyba koledzy myśliwi, że było można oniemieć z podziwu, zwłaszcza że, powtarzam, były to jelenie pochodzące z jednego tylko roku i nie z gór.

Osobno wystawione były jelenie parkowe, nie znoszące oczywiście porównania z wolnym zwierzostanem.

Z 9 wystawionych danieli, pierwsze miejsce zajmował łopatacz Pana Zoltana Szavoszt o 86 cm wysokości i 18,50 obwodu przeciętnego róż.

Rogaczy wystawiono 96. Typem przypominały one przeważnie nasze rogacze z okolic między Przemyślem a Bóbrką, ślicznie operlone, o doskonale rozwiniętych pniach i odnogach. 3 pierwsze nagrodzone były poprostu wspaniałe. Rogacz Hr. Ferdynanda Trautmannsdorf‘a ważył 526 gramów, Pana Beli Drehera 434 gramy, Hr. Władysława Wenckheim‘a 450 gr, (wszystkie z dużą czaszką). Osobno wystawione były odmieńce, wśród których pierwszym był zabity przez Hr. Jana Pallfy, bardzo ciekawy, o rogach bardzo silnych, bo ważących 449 gramów (z dużą czaszką).

Z muflonów dwie pierwsze nagrody dostały trofea Hr. Pawła Nadasdy‘ego o 84,50 cm długości i 23 cm obwodu rogów, oraz 78 cm długości i 24,50 cm obwodu. Czy są one jako takie kapitalne lub nie, tego nie umiem powiedzieć, bo ze zwierzyną tą nie spotkałem się w życiu i zupełnie się na niej nie znam.

Między kłami odyńców, których wystawiono ośm, były całkiem dobre, ale nie było kapitalnego. Miały one od 22,60 do 20,10 cm długości i od 6,60 do 5,60 cm obwodu. Dwa najlepsze były Hr. Wiktora Karolyi‘ego i Regenta Horthy‘ego.

Wystawa była urządzona znakomicie, tak co do rozmieszczenia trofeów, ułatwiającego dokładne oglądnięcie każdego eksponatu, jak i co do wspaniałego pod względem myśliwskim, a bardzo estetycznego pod względem malowniczości ogólnego coup d‘oeuil.

Popołudniu przez wspaniały, kilkaset metrów szeroki Dunaj przeszedłem z Pesztu do Budy. Kontrast bezpośredni a zupełny. Tam tłok, zgiełk i wspaniała nieestetyczność nowoczesnych wielkomiejskich ulic — tu cisza, spokój, piękno i urok przeszłości. Przytem panorama tak malownicza, jakich nie wiele widzieć można: o jakieś sto metrów poniżej przepysznej katedry Świętego Macieja, Peszt, oddzielony płynącym wszystkiemi barwami zachodu Dunajem, z drugiej strony, pagórki Budziańskie, porosłe winnicami i lasami z białemi murami chat i poważnemi, szaremi pałaców. A na najbliższym poważna, massywna, surowa budowla cytadeli, co niegdyś przez wieki broniła Turkom przystępu, a potem była ostoją ich tu panowania, aż póki nie załamała się pod Wiedniem i Parkanami potęga Islamu.

Wieczorem poszedłem na kolację do hotelu Gellaert, gdzie grał najsławniejszy na całe Węgry, Królowej Elżbiety i Królewicza Rudolfa niegdyś faworytny cygan, stary, przeszło 80-letni Béla Berkes. Niezwykły to cygan. Nie robi on grymasów twarzą, a kontorsji ciałem, nie przychodzi grać do ucha byle gościowi. Nie gra też ani wiedeńskich, ani amerykańsko-hotentockich „szlagerów“ same tylko rodzime, węgierskie i cygańskie melodje. — I gra je jak wirtuoz, a gra dostojnie. I tylko czasem wśród gry przemyka oczy i potrząsa z lekka białą głową, jakby w duchu oglądał wizje przeszłości, wizje bujnego, szerokiego życia dawnych Węgier i twarze tych, którym jak Węgry długie były i szerokie, grał po pałacach i zamkach, a z których niejeden imię swe zapisał trwałemi zgłoskami w historji tego kraju. Przez całe godziny cymbały i skrzypce to drgały wszystkiemi strunami miłości i łkały skargą serdeczną, to brzmiały jak surmy bojowe, uniesieniem walki i upojeniem tryumfu, to śpiewały całą głębię i całą pełnię patrjotycznego uczucia i bólu, to wybuchały nieposkromionemi porywami węgierskiego temperamentu. Na koniec zagrali cyganie piosnkę, ułożoną przez Hrabiego Revay‘a na pożegnanie z ziemią rodzinną. Dziwna, iście węgierska historja tej piosenki. Baron Revay, typ ziemianina o rycerskim i poetycznym polocie, sercem całem przywarł do swej ziemi, leżącej dziś w Czechosłowacji. Do ziemi tej zjechała komisja z czeskiego urzędu ziemskiego, by zdecydować, jaka przestrzeń ma być przeznaczona na przymusową parcelację, od której właściciel miał nadzieję obronić się wzorową kulturą i wysoką produkcją. Po odjeździe komisji, Hrabia Revay siadł do fortepianu i wygrał wszystko, co mu drgało w duszy, całe ukochanie tej ziemi, całą trwogę o nią, cały ból na myśl, że mogą mu ją zabrać — a w pokoju sąsiednim siedział syn jego i utrwalał z pietyzmem to, czem biło w tej chwili serce ojca.

Tę to piosenkę grali mi na pożegnanie cyganie. A ja pomyślałem sobie, że autor jej w całym swym bólu serdecznym, w całej swej krwawej skardze nie zaznał jednej nuty, tej co najgorszą właśnie napawa goryczą. Bo przecież Barona Revay z jego gniazda rodzinnego rugowali obcy, wrogowie...



MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

Hagenbeck

Dokończenie

Później już (rok tej wyprawy nie podany) wysyła H. za poradą ks. Bedford wyprawę do Azji środk. po dzikie konie (equus Przewalski) pod przewodnictwem swego agenta Griegera. Kilka sztuk tych zwierząt znajdowało się już wówczas w posiadłościach p. Falz-Fein'a w Askanji nowej na Krymie, ale szczęśliwy ich posiadacz zazdrosny o swą sławę nie chciał Griegerowi zdradzić ani źródła ani sposobu dostania ich. Tylko ogólnikowo mógł się Grieger dowiedzieć, że zwierzęta te przebywają nad jeziorem i rzeką Kobdo w zach. Mongolji na północ od pasma gór Ałtajskich. Bawiący wówczas w Petersburgu buddyjski lama Dr. Radmai przyczynił się znacznie swemi radami i wskazówkami, jako doskonały znawca Mongolji do umożliwienia tego trudnego wówczas przedsięwzięcia.

Bardzo ważną, a dla nas ciekawą kwestją, była sprawa monety obiegowej w tamtych stronach. Otóż okazało się, że niezbędne do wszelkich transakcyj tam były: w Hamburgu lane sztaby „białego" srebra, wyżej cenionego przez mongołów od ciemniejszego srebra angielskiego. Jedna taka sztaba ważyła około 11 funtów a przy transakcji trzeba było ją rozgrzewać, rąbać na odpowiednie kawałki i ważyć na specjalnych mosiężnych wagach.

Drugą monetą obiegową były prasowane cegiełki herbaty chińskiej, w które trzeba było zaopatrzyć się na miejscu. W końcu jako najdrobniejsza zdawkowa moneta były tam używane wstążki tkane z wełny 1 metr długie, 5 cm szer., niebieskie i czerwone miały większą wartość a żółte o połowę mniejszą.

Przez Moskwę dostał się Grieger nad rzekę Ob zkąd 250 wiorst do miasta Bieska odbył saniami. Ztąd karawaną złożoną na miejscu z koni i z wielbłądów dostał się do 900 wiorst odległego miasta Kobdo, które obrał za punkt wyjścia właściwej wyprawy. Tutaj przeczekał do końca zimy, badając warunki tej wyprawy i przygotowując się do niej. Samo łapanie okazało się rzeczą bardzo łatwą: Gdy stadka z 10 do 20 sztuk przychodziły do wody, tubylcy forsowali konno małe źrebięta nie mogące podążyć za stadem, wiązali je i w obozie przysadzali je do przygotowanych mamek (naturalnie swojskich klaczy). Źrebięta — zdaje się — nie ginęły ze strachu lub przemęczenia i wkrótce było 30 złapanych. Ponieważ pierwotna dyspozycja Hagenbecka opiewała na 6 sztuk — pewnie stosownie do ilości zamówień, bo zwierzęta te nie stanowiły tak pokupnego towaru, jak słonie, lwy, tygrysy — zdecydował się Grieger, zapytać się telegraficznie w Hamburgu, czy ma wszystkie transportować. W tym celu przebywa 2000 km konno, płynie statkiem 4 dni, czeka na odpowiedź z Hamburga 48 godzin i wraca do Kobdo po 20 dniowej nieobecności, podczas której ilość złapanych łosząt wzrosła do 52, z któremi puszcza się w drogę powrotną, trwającą 11 miesięcy, doprowadzając jednak do Hamburga tylko 28 żyjących łosząt.

Później wysyłał H. jeszcze 2 wyprawy do Azji centralnej po młode Argali — złapanych było razem przy tych dwóch wyprawach 60 koźląt, które wszystkie poginęły

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

Jak to pani rejentowa została gorącą zwolenniczką myślistwa

Humoreska

Na czele miejscowego towarzystwa myśliwskiego w miasteczku S... stał, jak to zwykle bywa, pan rejent Ł...

Ile jednak kłopotów i trosk przysporzyło mu piastowanie godności prezesa, na niedźwiedziej skórze by nie spisał.

Pan rejent, dość już podtatusiały jegomość wiódł niemal cały swój żywot poza domem.

Ranne godziny spędzał na czytaniu i podpisywaniu różnych aktów w swem biurze, ale kiedy 1-sza na zegarze wybiła, ubierał się w długie buty, nigdy nie czyszczone, zabierał flintę i psa z domu i wyruszał na pobliskie pola, lub do lasu na polowanie.

Ile przytem wycierpiał, co przeszedł, nim znalazł się na polach, wśród gęstwiny boru, gdzie dopiero szum drzew uspokajał jego nadwerężone nerwy!

Dlaczego?

Otóż trzeba wam wiedzieć, że pan rejent miał żonę. Choć sam starszy był już wiekiem, żona jego była młodą, no i wcale niebrzydką. A przytem i temperament miała niezgorszy.

W chwili więc, kiedy rejent brał ze ściany strzelbę i przeciągle gwizdał, nawołując psa, wpadała do pokoju, niczem furja, pani Michalincia, bo tak było na imię pani rejentowej i w drzwiach już zaczynała zwykłe swe i codzienne jeremiady.

„O ja nieszczęśliwa, za co Bóg mnie tak pokarał, takim mężem, który albo siedzi w biurze, albo wśród pól i lasów wałęsa się za zwierzem. A w nocy tylko to śpi, jak kamień, i chrapie do tego.

A bodajże ci flinta nie wypaliła, ty przebrzydły brutalu."

Pan rejent w tej właśnie chwili zwykle rajterował, będąc pewny powodzenia na polowaniu, gdyż żona nigdy nie życzyła mu szczęścia, gdy znajdował się na wolnem powietrzu.

Kiedy zaś znużony, brudny wracał do domu, nowe jeremiady witały go u wejścia.

„I jak ty wyglądasz brudasie, ty przedpotopowy człowieku, całe miasto mówi o twym nałogu. Patrz na aptekarza, jak on wygląda, a jaki czysty, jak porządnie ubrany."

dopiero w drodze powrotnej na rozwolnienie. Koszta tych dwóch wypraw po Argali oblicza H. na około 100,000 M. Następujący epizod, opisany przez H. nadaje się do „kącika humorystycznego“, a jednak jest z życia wzięty: Z powodu swej złośliwości miał być u H. w Hamburgu stracony olbrzymi słoń, ale z powodu nagłego wyjazdu H. do Anglji, egzekucja ta została odłożoną. W Anglji, w rozmowie ze swym znajomym preparatorem mister Rowland Ward‘em wspomniał H. o tym wypadku, na co jako odpowiedź dostał propozycję sprzedaży tego słonia za 50 funtów szt. na „upolowanie“ go przez znajomego mu sportsmena angielskiego. Rzeczywiście stosownie do umowy zjawili się w przeciągu tygodnia w Hamburgu preparator z krwiożerczym sportsmenem z całym arsenałem broni. Nazajutrz o 10 godzinie miały się te „łowy“ odbyć... w stajni u Hagenbecka!

Aby tym „łowom“ dodać choć trochę odpowiedniego tła, kazał H. słonia wyprowadzić ze stajni i... przywiązać do wysokiego muru, który dla uniknięcia rekoszetu został obłożony 2½ calowemi dylami. Wszystko działo się naturalnie przy asystencji uwiadomionej o tem policji. W końcu zjawił się Anglik z arsenałem, ale na strzał nie mógł się zdecydować z widocznego zdenerwowania. Nie chciał się też zgodzić na to, aby jeden z agentów Hagenbecka strzelił — w końcu zgodził się na powieszenie, które zostało w stajni przy pomocy korby i 6 ludzi sprawnie wykonane! Na jakie ryzyko narażony jest handlarz żywemi zwierzętami, niech posłuży jako dowód następujący wypadek: Po 9 dniowej uciążliwej podróży koleją odbytej z Tryjestu do Hamburga, wrócił właśnie H. z wielkim transportem zwierząt i ulokował późnym już wieczorem wszystko po odpowiednich stajniach. W nocy budzi go stróż z wiadomością, że jeden z świeżo przybyłych słoni mocno harczy i widocznie jest chory. Mimo tej przykrej nowiny H. zasnął w tej chwili z powrotem z powodu przemęczenia. Po godzinie przebudzony tą samą wiadomością zbiega na dół i zastaje jednego słonia nieżywego, a 2 w agonji... z upływu krwi z ran wygryzionych przez szczury w podeszwach; w grubej skórze dokładnie widoczne były ślady zębów. Na drugi dzień podłoga dylowana została zastąpioną betonową.

Za przykład niepojętej żarłoczności węży niech posłużą następujące fakty: Python reticulatus 25 stopowy zjada capa 25 funtowego; po kilku godzinach drugiego 39 funtowego, którego połyka w przeciągu ½ godziny. Po 8 dniach dostaje 72 funtową nieżywą kozę sybiryjską. Za godzinę, gdy połknął przy silnem stękaniu połowę kozy zjawia się przywołany fotograf i robi przy świetle magnezjowem zdjęcie, gdy już tylko zadnie nogi z paszczy wystają. Ale w minutę po zdjęciu widocznie przerażony światłem magnezjowem wypluwa wąż całą kozę z powrotem w przeciągu 30 sekund, do której połknięcia potrzebował prawie dwóch godzin. Sekcja tej kozy wkazała, że wszystkie kości bez wyjątku były pogruchotane. Węża Boa constrictor po nakarmieniu wieczornem i przykryciu go w skrzyni grubym kocem zastaje H. rano nieżywego z połkniętą jedną połową koca, a wystającą z paszczy drugą połową. Udusił się kocem!

Do klatki 9 i 7 stopowego Python‘a podano wieczór królika (nadprogramowo). Rano zastano w klatce tylko większego 9 stopowego węża, ale w ciele jego widoczny

---

W tym zwykle momencie następował zwrot w rozmowie.

Pan rejent, któremu zdawało się, że już mu rogi rosną, z potulnego i biernego słuchacza, stawał się wściekłym i zapamiętałym mówcą.

„Tak, to się tobie zachciewa amorów, lalusie ci się podobają, ty rozpustnico, to zamiast pilnować domu, ty oglądasz się za aptekarzem. Tego już za dużo moja pani.“

I wzburzon do głębi pan rejent, w milczeniu zjadłszy kolację, wołał na psa i szedł spać.

A kiedy pani rejentowa kładła swe piękne, coprawda trochę wybujałe kształty na łoże obok męża, nowy potok lawy słów toczył się z nigdy nie wygasłego wulkanu, jakim były czerwone i kuszące usta pani Michalinci:

„Wyrzuć tego psa, mówię ci po dobroci, wyrzuć tego psa, to zbiorowisko pcheł i przeróżnych odorów“.

Zwykle po takim wybuchu poczciwy i Bogu ducha winien Azor szedł na słomę, przed domem leżącą, złożyć swe znużone polowaniem kości.

Aż pewnego dnia, zdarzył się nowy i nie oczekiwany wypadek w domu pana rejenta.

Otóż pan rejent przyjął do swej kancelarji młodego pisarza, a przyjął go tylko dlatego, że znalazł w nim gorliwego towarzysza wycieczek myśliwskich.

Pani Michalincia zapłonęła niepohamowaną żądzą poznania tego ciekawego młodzieńca, który zamiast flirtować, wolał się włóczyć z panem rejentem i Azorem po polach i strzelać kuropatwy.

To też gdy nadszedł dzień jej imienin, zaprosiła na obiad pana Stanisława, ten ciekawy objekt swych pożądań.

W dniu tym nie wyszli nasi myśliwi na polowanie.

Zaraz po biurze, obaj starannie i czysto ubrani stawili się w domu pani rejentowej, by złożyć jej życzenia imieninowe.

O jakiż miły zawód spotkał panią Michalincię, gdy zamiast spodziewanego, obdartego i brudnego myśliwego, stanął przed nią młody, przystojny, tryskający siłą i życiem młodzieniec.

A kiedy po obiedzie, przy czarnej kawie pan rejent skierował temat rozmowy na łowiectwo, młody kancelista zaczął mówić o zabobonach myśliwskich.

Wyliczywszy już wszystko, zatrzymał się na zwyczaju oglądania kolanka przed wyruszeniem na polowanie.

W tej jednak chwili pani rejentowa, która do tej pory nie brała udziału w rozmowie, wtrąciła swoje:

„No niech pan coś powie o tem, jeszcze nigdy o tym zwyczaju nie słyszałam.“

MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

Hagenbeck

Dokończenie

Później już (rok tej wyprawy nie podany) wysyła H. za poradą ks. Bedford wyprawę do Azji środk. po dzikie konie (equus Przewalski) pod przewodnictwem swego agenta Griegera. Kilka sztuk tych zwierząt znajdowało się już wówczas w posiadłościach p. Falz-Fein'a w Askanji nowej na Krymie, ale szczęśliwy ich posiadacz zazdrosny o swą sławę nie chciał Griegerowi zdradzić ani źródła ani sposobu dostania ich. Tylko ogólnikowo mógł się Grieger dowiedzieć, że zwierzęta te przebywają nad jeziorem i rzeką Kobdo w zach. Mongolji na północ od pasma gór Ałtajskich. Bawiący wówczas w Petersburgu buddyjski lama Dr. Radmai przyczynił się znacznie swemi radami i wskazówkami, jako doskonały znawca Mongolji do umożliwienia tego trudnego wówczas przedsięwzięcia.

Bardzo ważną, a dla nas ciekawą kwestją, była sprawa monety obiegowej w tamtych stronach. Otóż okazało się, że niezbędne do wszelkich transakcyj tam były: w Hamburgu lane sztaby „białego" srebra, wyżej cenionego przez mongołów od ciemniejszego srebra angielskiego. Jedna taka sztaba ważyła około 11 funtów a przy transakcji trzeba było ją rozgrzewać, rąbać na odpowiednie kawałki i ważyć na specjalnych mosiężnych wagach.

Drugą monetą obiegową były prasowane cegiełki herbaty chińskiej, w które trzeba było zaopatrzyć się na miejscu. W końcu jako najdrobniejsza zdawkowa moneta były tam używane wstążki tkane z wełny 1 metr długie, 5 cm szer., niebieskie i czerwone miały większą wartość a żółte o połowę mniejszą.

Przez Moskwę dostał się Grieger nad rzekę Ob zkąd 250 wiorst do miasta Bieska odbył saniami. Ztąd karawaną złożoną na miejscu z koni i z wielbłądów dostał się do 900 wiorst odległego miasta Kobdo, które obrał za punkt wyjścia właściwej wyprawy. Tutaj przeczekał do końca zimy, badając warunki tej wyprawy i przygotowując się do niej. Samo łapanie okazało się rzeczą bardzo łatwą: Gdy stadka z 10 do 20 sztuk przychodziły do wody, tubylcy forsowali konno małe źrebięta nie mogące podążyć za stadem, wiązali je i w obozie przysadzali je do przygotowanych mamek (naturalnie swojskich klaczy). Źrebięta — zdaje się — nie ginęły ze strachu lub przemęczenia i wkrótce było 30 złapanych. Ponieważ pierwotna dyspozycja Hagenbecka opiewała na 6 sztuk — pewnie stosownie do ilości zamówień, bo zwierzęta te nie stanowiły tak pokupnego towaru, jak słonie, lwy, tygrysy — zdecydował się Grieger, zapytać się telegraficznie w Hamburgu, czy ma wszystkie transportować. W tym celu przebywa 2000 km konno, płynie statkiem 4 dni, czeka na odpowiedź z Hamburga 48 godzin i wraca do Kobdo po 20 dniowej nieobecności, podczas której ilość złapanych łosząt wzrosła do 52, z któremi puszcza się w drogę powrotną, trwającą 11 miesięcy, doprowadzając jednak do Hamburga tylko 28 żyjących łosząt.

Później wysyłał H. jeszcze 2 wyprawy do Azji centralnej po młode Argali — złapanych było razem przy tych dwóch wyprawach 60 koźląt, które wszystkie poginęły

---

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

Jak to pani rejentowa została gorącą zwolenniczką myślistwa

Humoreska

Na czele miejscowego towarzystwa myśliwskiego w miasteczku S... stał, jak to zwykle bywa, pan rejent Ł...

Ile jednak kłopotów i trosk przysporzyło mu piastowanie godności prezesa, na niedźwiedziej skórze by nie spisał.

Pan rejent, dość już podtatusiały jegomość wiódł niemal cały swój żywot poza domem.

Ranne godziny spędzał na czytaniu i podpisywaniu różnych aktów w swem biurze, ale kiedy 1-sza na zegarze wybiła, ubierał się w długie buty, nigdy nie czyszczone, zabierał flintę i psa z domu i wyruszał na pobliskie pola, lub do lasu na polowanie.

Ile przytem wycierpiał, co przeszedł, nim znalazł się na polach, wśród gęstwiny boru, gdzie dopiero szum drzew uspokajał jego nadwerężone nerwy!

Dlaczego?

Otóż trzeba wam wiedzieć, że pan rejent miał żonę. Choć sam starszy był już wiekiem, żona jego była młodą, no i wcale niebrzydką. A przytem i temperament miała niezgorszy.

W chwili więc, kiedy rejent brał ze ściany strzelbę i przeciągle gwizdał, nawołując psa, wpadała do pokoju, niczem furja, pani Michalincia, bo tak było na imię pani rejentowej i w drzwiach już zaczynała zwykłe swe i codzienne jeremiady.

„O ja nieszczęśliwa, za co Bóg mnie tak pokarał, takim mężem, który albo siedzi w biurze, albo wśród pól i lasów wałęsa się za zwierzem. A w nocy tylko to śpi, jak kamień, i chrapie do tego.

A bodajże ci flinta nie wypaliła, ty przebrzydły brutalu."

Pan rejent w tej właśnie chwili zwykle rajterował, będąc pewny powodzenia na polowaniu, gdyż żona nigdy nie życzyła mu szczęścia, gdy znajdował się na wolnem powietrzu.

Kiedy zaś znużony, brudny wracał do domu, nowe jeremiady witały go u wejścia.

„I jak ty wyglądasz brudasie, ty przedpotopowy człowieku, całe miasto mówi o twym nałogu. Patrz na aptekarza, jak on wygląda, a jaki czysty, jak porządnie ubrany."

dopiero w drodze powrotnej na rozwolnienie. Koszta tych dwóch wypraw po Argali oblicza H. na około 100,000 M. Następujący epizod, opisany przez H. nadaje się do „kącika humorystycznego“, a jednak jest z życia wzięty: Z powodu swej złośliwości miał być u H. w Hamburgu stracony olbrzymi słoń, ale z powodu nagłego wyjazdu H. do Anglji, egzekucja ta została odłożoną. W Anglji, w rozmowie ze swym znajomym preparatorem mister Rowland Ward‘em wspomniał H. o tym wypadku, na co jako odpowiedź dostał propozycję sprzedaży tego słonia za 50 funtów szt. na „upolowanie“ go przez znajomego mu sportsmena angielskiego. Rzeczywiście stosownie do umowy zjawili się w przeciągu tygodnia w Hamburgu preparator z krwiożerczym sportsmenem z całym arsenałem broni. Nazajutrz o 10 godzinie miały się te „łowy“ odbyć... w stajni u Hagenbecka!

Aby tym „łowom“ dodać choć trochę odpowiedniego tła, kazał H. słonia wyprowadzić ze stajni i... przywiązać do wysokiego muru, który dla uniknięcia rekoszetu został obłożony 2½ calowemi dylami. Wszystko działo się naturalnie przy asystencji uwiadomionej o tem policji. W końcu zjawił się Anglik z arsenałem, ale na strzał nie mógł się zdecydować z widocznego zdenerwowania. Nie chciał się też zgodzić na to, aby jeden z agentów Hagenbecka strzelił — w końcu zgodził się na powieszenie, które zostało w stajni przy pomocy korby i 6 ludzi sprawnie wykonane! Na jakie ryzyko narażony jest handlarz żywemi zwierzętami, niech posłuży jako dowód następujący wypadek: Po 9 dniowej uciążliwej podróży koleją odbytej z Tryjestu do Hamburga, wrócił właśnie H. z wielkim transportem zwierząt i ulokował późnym już wieczorem wszystko po odpowiednich stajniach. W nocy budzi go stróż z wiadomością, że jeden z świeżo przybyłych słoni mocno harczy i widocznie jest chory. Mimo tej przykrej nowiny H. zasnął w tej chwili z powrotem z powodu przemęczenia. Po godzinie przebudzony tą samą wiadomością zbiega na dół i zastaje jednego słonia nieżywego, a 2 w agonji... z upływu krwi z ran wygryzionych przez szczury w podeszwach; w grubej skórze dokładnie widoczne były ślady zębów. Na drugi dzień podłoga dylowana została zastąpioną betonową.

Za przykład niepojętej żarłoczności węży niech posłużą następujące fakty: Python reticulatus 25 stopowy zjada capa 25 funtowego; po kilku godzinach drugiego 39 funtowego, którego połyka w przeciągu ½ godziny. Po 8 dniach dostaje 72 funtową nieżywą kozę sybiryjską. Za godzinę, gdy połknął przy silnem stękaniu połowę kozy zjawia się przywołany fotograf i robi przy świetle magnezjowem zdjęcie, gdy już tylko zadnie nogi z paszczy wystają. Ale w minutę po zdjęciu widocznie przerażony światłem magnezjowem wypluwa wąż całą kozę z powrotem w przeciągu 30 sekund, do której połknięcia potrzebował prawie dwóch godzin. Sekcja tej kozy wkazała, że wszystkie kości bez wyjątku były pogruchotane. Węża Boa constrictor po nakarmieniu wieczornem i przykryciu go w skrzyni grubym kocem zastaje H. rano nieżywego z połkniętą jedną połową koca, a wystającą z paszczy drugą połową. Udusił się kocem!

Do klatki 9 i 7 stopowego Python‘a podano wieczór królika (nadprogramowo). Rano zastano w klatce tylko większego 9 stopowego węża, ale w ciele jego widoczny

---

W tym zwykle momencie następował zwrot w rozmowie.

Pan rejent, któremu zdawało się, że już mu rogi rosną, z potulnego i biernego słuchacza, stawał się wściekłym i zapamiętałym mówcą.

„Tak, to się tobie zachciewa amorów, lalusie ci się podobają, ty rozpustnico, to zamiast pilnować domu, ty oglądasz się za aptekarzem. Tego już za dużo moja pani.“

I wzburzon do głębi pan rejent, w milczeniu zjadłszy kolację, wołał na psa i szedł spać.

A kiedy pani rejentowa kładła swe piękne, coprawda trochę wybujałe kształty na łoże obok męża, nowy potok lawy słów toczył się z nigdy nie wygasłego wulkanu, jakim były czerwone i kuszące usta pani Michalinci:

„Wyrzuć tego psa, mówię ci po dobroci, wyrzuć tego psa, to zbiorowisko pcheł i przeróżnych odorów“.

Zwykle po takim wybuchu poczciwy i Bogu ducha winien Azor szedł na słomę, przed domem leżącą, złożyć swe znużone polowaniem kości.

Aż pewnego dnia, zdarzył się nowy i nie oczekiwany wypadek w domu pana rejenta.

Otóż pan rejent przyjął do swej kancelarji młodego pisarza, a przyjął go tylko dlatego, że znalazł w nim gorliwego towarzysza wycieczek myśliwskich.

Pani Michalincia zapłonęła niepohamowaną żądzą poznania tego ciekawego młodzieńca, który zamiast flirtować, wolał się włóczyć z panem rejentem i Azorem po polach i strzelać kuropatwy.

To też gdy nadszedł dzień jej imienin, zaprosiła na obiad pana Stanisława, ten ciekawy objekt swych pożądań.

W dniu tym nie wyszli nasi myśliwi na polowanie.

Zaraz po biurze, obaj starannie i czysto ubrani stawili się w domu pani rejentowej, by złożyć jej życzenia imieninowe.

O jakiż miły zawód spotkał panią Michalincię, gdy zamiast spodziewanego, obdartego i brudnego myśliwego, stanął przed nią młody, przystojny, tryskający siłą i życiem młodzieniec.

A kiedy po obiedzie, przy czarnej kawie pan rejent skierował temat rozmowy na łowiectwo, młody kancelista zaczął mówić o zabobonach myśliwskich.

Wyliczywszy już wszystko, zatrzymał się na zwyczaju oglądania kolanka przed wyruszeniem na polowanie.

W tej jednak chwili pani rejentowa, która do tej pory nie brała udziału w rozmowie, wtrąciła swoje:

„No niech pan coś powie o tem, jeszcze nigdy o tym zwyczaju nie słyszałam.“

był w całej swej długości mniejszy. Królik musiał być chwycony przez oba węże równocześnie z dwóch końców!

Python 14 stopowy zjadł w 24 godzinach 4 jagnięta od 11 do 17 funtów wagi z rożkami od 3 do 7 cm długości. Na drugi dzień widocznie wzdęty gazami miał pękniętą skórę na długości 30 cm szerokości w najbardziej rozwartem miejscu. Ale po 10 dniach zjadł znów jagnię.

Wielki grzechotnik dostał do klatki wieczorem świeżo złapanego wielkiego szczura; rano zastano w klatce węża nieżywego z przegryzionym karkiem i kawałkiem karku wygryzionym — w kącie wytrzeszczał oczy szczur żywy i zdrów. Od tego czasu nie podawano już wężom łapanych dzikich szczurów, tylko specjalnie w tym celu w klatkach chowane, jako mniej wojownicze.

W marcu 1892 r. sprowadził H. z Indji 4 młode tygrysy, przeznaczone do tresury na wystawę do Chicago; wszystkie zginęły, a po nich zaczęły ginąć wśród tych samych objawów (wymioty, rozwolnienie, kurcze) i inne zwierzęta (koty) lwy, tygrysy, pantery. Dopiero w lecie po zaprowadzeniu systemu pojenia zwierząt przegotowaną wodą, zaraza wygasła — a w sierpniu skonstatowano w Hamburgu pierwsze wypadki cholery, która potem wiele ofiar pochłonęła. Dopiero wtedy powstało przypuszczenie, że zwierzęta Hagenbecka ginęły na cholerę, i że pewnie właśnie przez ten transport z Indji zaraza ta dostała się wtenczas do Hamburga.

Takie są dole i niedole człowieka, który nie tylko żył ze zwierząt, ale je znał, rozumiał, a przedewszystkiem kochał, które to uczucie przebija się prawie w każdem słowie książki jego. Dlatego z pewnością w każdym, komu przejawy przyrody nie są obojętne, książka ta wzbudzi uczucie uznania i wdzięczności dla jej autora.

A sfery miarodajne, może nawet aż ministerstwo oświaty, powinny znaleźć potrzebny fundusz do uprzystępnienia jej szerszym warstwom, zwłaszcza młodzieży, w języku polskim. Stworzyło by się dzieło dobre, piękne i pożyteczne.



Pan Stanisław poprawił się na krześle, wychylił do dna kieliszek domowego wiśniaku i zaczął opowiadać jak to idąc na polowanie zawsze pilnował, by przedtem ujrzeć pięknie toczone kolanko i po niem poklepać. A kiedy mu się to nie udawało, wracał do domu zwykle bez zdobyczy.

Pani rejentowa, długo milczała, wreszcie zaczęła się interesować myślistwem i o wszystko się pytała.

A kiedy nazajutrz pan rejent ze swym pisarzem udawali się na polowanie, czuły głos pani rejentowej odezwał się:

„Panie Stanisławie, czy oglądał pan kolanko przed wyruszeniem na polowanie?"

Krótkie „nie" było jedyną odpowiedzią.

„A chce pan zobaczyć?" Dał się słyszeć głos dyszącej pani rejentowej.

„I owszem, naturalnie, któżby tego nie chciał zobaczyć."

I pan Stanisław znikł w drzwiach domu pana rejenta, który podczas tego czekał niecierpliwie w swej kancelarji na pisarza.

A kiedy pan Stanisław zjawił się nareszcie, oczy miał rozmarzone i pełne myśliwskiego animuszu, co świadczyło o dokładnem obejrzeniu kolanka pani rejentowej.

Gdy wieczór już nadszedł i słońce chowało swą tarczę na zachodzie, wrócili nasi myśliwi do domu.

Pan rejent niósł jedną tylko kuropatwę, natomiast pisarz uginał się pod ciężarem wiszących na trokach u pasa kur.

A wieczorem, gdy państwo rejentostwo kładli się spać, Azor spokojnie już leżał wyciągnięty na chodniku w sypialnym pokoju.

I odtąd zawsze Azor sypiał w sypialni. Pani rejentowa nigdy już nie krzyczała na swego męża, gdy ten szedł na polowanie.

I od tej chwili pani Michalincia była coraz piękniejsza i im częstsze były polowania, tem większą stawała się zwolenniczką łowiectwa.

Oto jakie metamorfozy zdolne jest stworzyć umiejętne ujęcie myślistwa.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W Karakumskiej pustyni

Ciąg dalszy

Siedząc raz na czatach w wodopoju, zabiłem drugą sztukę dżejrana, lecz ta zdobycz przyczyniła mi więcej przykrości, niż dała uciechy, zabiłem bowiem młodą kozę, piękne stworzonko, zaczynające żyć zaledwie. Miałem za przewodnika Mustafa-Ogłę, chłopa sążnistego wzrostu, byczej budowy i siły, o dziecięcym niemal głosie. Mało rozumiałem jego gardlaną mowę, on mniej może jeszcze pojmował moją, lecz w sprawach myśliwskich pojmowaliśmy się doskonale. Znał życie i obyczaje zwierząt w swej ojczyźnie, od niego też dowiedziałem się o przezorności i rozumie dzikich baranów, wobec czego przysłowie „głupi jak baran" upada. W czasie przenoszenia się stąd owiec z jednego pastwiska na drugie, prowadzi je para starych baranów, poprzedzając stado o kilkaset kroków. Barany, idąc wolno w pewnem oddaleniu od siebie, rekognoskują okolicę bez przerwy, a doszedłszy do grzebienia gór, pierwszy przechodzi go ostrożnie, gdy drugie pozostaje po tej stronie tak długo, póki nie otrzyma sygnału o bezpiecznem przejściu, poczem stado już śmiało prowadzi dalej. W czasie mego na Kopet-Dagu pobytu zaczynała się ruja baranów i kozłów (początek listopada) i czas zaciętych bójek rywali o pierwszeństwo. W cichem, rannem powietrzu niekiedy odgłosy, jakby silnych uderzeń młotów, rozlegały się w dalekich górach, to barany tłuką sobie łby z rozmachem. Za to nader piękny jest widok bijących się kozłów, skaczących z gracją ku sobie i uderzających się z góry rogami. O ile w walce baranów przeważa brutalna siła, u kozłów pewna zręczność i elegancja.

Jakkolwiek jest tu masa zwierzyny wszędzie, zdobycie jej nie jest łatwe. Wszędzie zdradza ona zbytnią czujność i płochliwość, zapewne wskutek ustawicznego jej niepokojenia i pogoni przez straż pograniczną, złożoną z kozaków kubańskich, myśliwych z krwi i kości. Zawdzięczając tej straży, obcy myśliwy czuje się tu dość bezpiecznym przed włóczącymi się kurdami, kontrabandzistami. Taki oberwaniec uzbrojony w berdankę, a częściej w długą, lontową pojedynkę, arszynowy kindżał i pistolety, a niekiedy nawet w łuk — kołczak i dzidę, na spotkanie myśliwego chwyta broń do ręki i nie jest daleki od jej użycia.

Na całem wzgórzu Kopet-Dagu żyje masa kur skalnych, pięknych rudych ptaków (perdix chukar). Szczególnie spotyka się je w bliskości wody, trzymające się w licznych stadkach. Oryginalny świst ich lotu, wesoły szczebiot często można słyszeć w górach, jak również krzyk górskiej indyczki, wielkością, formami i opierzeniem przypominającą nam pentarkę. Po upolowaniu kilkunastu sztuk chukarów i ostatniej próbie podejścia kozłów, porzuciłem górzysty teren i przeniosłem się w stepy i niziny błotniste.

Nie chcę nudzić czytelnika opisem polowań na wodach i błotach, bo przy tej masie pierzastej gawiedzi, dogodnem jej podjeżdżaniu, lub podchodzeniu z osłoniętych wysokiemi trzcinami miejscowości, zabicie kilkudziesięciu różnych ptaków nie jest rzeczą znów trudną. Rozkład nie tyle zasługuje na uwagę swą ilością, ile jakością ptactwa. W większej części stanowiły me trofea: łabędzie, pelikany, kormorany, gęsi, kaczki różnych odmian, czaple, żórawie, kulony i inne błotniaki, tylko czerwonakiem poszczycić się nigdy nie mogłem, jak też nigdy nie celowałem w strzelaniu do długodziobych bekasów. Zawsze więcej robiłem dziur w grząskiem błocie, niż czyniłem krzywdy w ich zastępach. Upolowanie kilkunastu sztuk tych ptaszyn, należało do fenomenalnych dni i wydarzeń w mem życiu.

Stepy.

Step nagradza mi zawsze sowicie uciechami łowieckiemi. W tych nieobjętych wzrokiem przestworzach, czułem się zawsze nieograniczenie swobodnym, jak sokół w powietrzu swobodnie szybujący. W tem morzu traw zielonych, wysokich burzanów i pożółkłych badyli, wiecznie wiatrami poruszanem, czułem się zawsze najszczęśliwszym i upajałem się szumem wiatrów, świergotem ptaków, brzękiem i chrzęstem owadów, kwileniem orłów i skrzekiem sokołów. Zerwie się stado białawych strepetów, ze świstem skrzydeł wzbije się wysoko, zatoczy ogromny łuk i zapadnie w trawy wysokie. Spędzone, powtórnie już węższe zakrąży półkole i usiądzie bliżej. — Podchodzą, rwą się już leniwiej i zupełnie blisko już zasiadują, widzę je grupami odbiegające szybko i kryjące się w trawach. Jakaś para przysiadła w kępie burzanów i pozwala mi zbliżyć się na daleki wystrzał, a gdy się z kwokaniem głośnem podniosła nad trawy, padła w nie martwa. Teraz rozbite stado rozprasza się wokoło, wybieram jeszcze sztuk kilka z niego, reszta bezślednie mi ginie. Ale oto mój Mustafa - Ogły dziwnemi gestami wskazuje mi wielką kupę burzanów. Skierowywam tam me kroki i po krótkim przemarszu dosięgam jej głębiny. Trzask łamanych mą nogą suchych badyli podnosi ukryte tu stado, przed palącem południowem słońcem. Rwą się pierzaste giganty, wąsate dropie z boku, przedemną, poza mną, a są tak blisko, że wiatr od ich lotu czuję na mej twarzy. Wypuszczam je i dubletem ściągam dwóch wąsaczów 40 funtowych, zdążam jeszcze włożyć jeden nabój w mą Tesznerkę i posłać go za uchodzącym ostatnim ptakiem, który jednak uniknął ciosu.

W czasie odpoczynku M.-O. zoczył ciemną chmurę na dalekim horyzoncie, szybko w naszą stronę zbliżającą się. Był to tabun z kilkuset dropi złożony, z którego część duża opuściła się o kilkaset metrów przed nami. Widać je jak na dłoni, majestatycznie przechadzające się po gładkim stepie. O podejściu ich myśleć nawet nie możemy, więc obieram dobrze zamaskowane burzanami miejsce, zapadam w jakiejś dolince, a Turkmen siada na „ryżego" i zaczyna umiejętnie okrążać stado.

Widzę go daleko za dropiami lawirującego to w tę to znów w inną stronę. Ptaki zdają się początkowo nie

zwracać uwagi na niego, spacerują, skubią trawkę, zbierają z niej owady, niekiedy jakiś wąsal strzepnie skrzydłami. Nagle całe stado jak jeden, podniosło wysoko głowy i zaczęło zdradzać pewien niepokój, szło jednakże pewien czas w prostej na mnie linji, umiejętnie pędzone. Już je miałem na 100 kroków przed sobą, gdy wąsacz prowodyr strzepnął skrzydłami, jakby chciał wypróbować, czy go nie zawiodą w locie, wymachnął nimi kilka razy, nogami odbił się od ziemi i uniósł w powietrze, a za nim całe wzleciało stado. Strzeliłem do najbliższego bokiem mnie mijającego. Śruty trzasnęły głośno o twarde pióra, ptak zwiesił w dół nogi, wypuścił białą zawartość żołądka, lecz podążył za tabunem i za chwilę znikł mi z widowni. Czasem orzeł zatoczył koło w powietrzu, upatrując zdobyczy, lub sokół pogonił spędzoną pardwę i sam legł od mego strzału, nim ją w szpony zdołał uchwycić.

Dżungla kolczasta.

Już godzin kilka włóczę się po dżungli, drę w strzępy odzienie, kaleczę ręce, nogi, twarz, a do strzału przyjść nie mogę. Rwą się z trzaskiem skrzydeł o suche gałęzie piękne bażanty długoogonowe, lecz w zwartej zarośli wysokiej dojrzeć ich nie mogę. Porzucam niegościnny teren i przenoszę się w więcej odkryte, niskopienne krzewy.

Ledwie postawiłem tu nogę, gdy z pod krzewu wzbił się jak świeca w górę piękny ptak, za nim drugi, trzeci, dziesiąty, niekiedy po kilka razem. Walę, jak do tarczy, niekiedy ptak, niekiedy tylko jego odcięty ogon spada na ziemię. Od zbyt częstych strzałów lufy się grzeją. Mustafa nie nadąża wyciągać z kolących krzewów ptaków i łotr znakami daje mi poznać, że lepiej mi idzie, jak z bekasami. Spoufaliłem tego draba zbytnio, zaczyna mi urągać, mało mu dzielenia się ze mną pieniądzmi memi, wyjadania przygotowionej dla mnie strawy, nim do niej zasiądę. — Niekiedy przemknie w krzewach rudy grzbiet szakala, a nim zaszyje się w gęstwinę, obsypuję go śrutami, ku wielkiej Turkmena uciesze, który jeszcze z żyjącego zwierza łupi skórę bezlitośnie. Jeszcze słońce stoi wysoko nad dalekiemi górami za Murgabem, gdy ja w mej torbie zaledwie mam kilka kul, zawsze chowanych na wypadek. Obciążeni liczną zdobyczą, wracamy wprawdzie z pełnemi torbami, lecz pustemi żołądkami i odarci, pokaleczeni, krwią umazani. Dni kilka jestem niezdolny do opuszczenia obozu — kuruję ciało i łatam podartą odzież.

Po kilkudniowym wypoczynku jestem dni kilka w drodze do dalekiej kniei oczeretowej, dokąd na czas dłuższy na dzicze wybrałem się łowy, na które wysłałem ludzi i psy gończe (miejscowe kundysy) naprzód. Jak się niestety pokazało, mój Kerbełaj-Ogły, mało znał tę okolicę, a ja jeszcze mniej w niej się orjentowałem. Po długiem błądzeniu, wracaniu w te same miejsca, skąd przed paru godzinami wyjechaliśmy, szukaniu brodów i dogodnych przepraw przez zwartą dżunglę, błota i wertepy, zaledwie przed zachodem słońca, stanąłem na umówionem miejscu. Moich ludzi tam już nie zastaałem, zwiali do aułów przed nocą. Wieczór się zbliżał szybko. Ostatnie błyski zachodzącego słońca złociły jeszcze szczyty gór dalekich za Murgabem, z nizin powiał wiatr chłodny, zaszumiała knieja trzcinowa, zakołysały i sfałdowały się, jak tonie morskie, zielone przestrzenie okiem nie objęte, a z moczarów, błot i topieli zaczęły podnosić się lekkie, białe opary i coraz szerzej słały się ku dolinie, zasłaniając widnokrąg.

W oczekiwaniu Kerbełaja z końmi, pozostałemi u przeprawy, wyciągnąłem strudzone członki na miękkiej trawie pod rozłożystem krzewem.

Dok. nast.



DR STANISŁAW KOŹMIAN REJCHER

Pies

Ciąg dalszy

V. Grupa chartów

Do grupy chartów zaliczamy psy, które rzucają się w oczy, dzięki swej budowie.

Na suchych, wysokich, cieńkich nogach, spoczywa smukły korpus z wysoko podkasanym brzuchem. Pierś bardzo głęboka — lecz nie szeroka. Smukłej linji korpusa — odpowiada wązka, długa głowa. Ogon długi i cienki w spokoju zawsze prawie pod zad podciągnięty a w samym końcu ku górze silnie wygięty. Całość budowy zdradza lekkość ruchów i wytrzymałość w biegu. Sierć miewają krótką, szorstką lub długowłosą.

Charty różnią się od innych psów nietylko budową, ale i własnościami.

Według Hilzheimera ludzka sztuka hodowlana osiągnęła u chartów najwyższy stopień doskonałości — przekształcając zwierzę wybitnie węchowe na wzrokowe.

Wbrew własnościom wszystkich Canidów, które gonią za pomocą węchu, chart, który również należy do Canidów poluje oczyma. Węchu żadnego prawie nie posiada— zato silnie wykształcony słuch i wzrok.

Usposobienie charta jest inne też — aniżeli innych psów.

Charty były w pierwszej linji psami gończemi. Praca ich polegała na tem, by uciekającą zwierzynę chwycić i ubezwładnić. Hodowla chartów miała więc dwa cele na oku: 1) osiągnięcie jaknajwiększej szybkości i 2) wykształcenie jaknajsilniejszego chwytu pyskiem. Obydwa cele osiągnęła w całej pełni.

Chart jest równie przywiązany do swego pana, jak i inny pies. Wobec obcych jest niedowierzający i na karesy odpowiada nagłem i niespodziewanem ukąszeniem. Nie słucha tak jak inne psy — tylko jakby z łaski. Dumny, poważny zachowuje się niby rycerz — który popadł w niewolę i skuto go w kajdany.

Charta trzeba ostro trzymać i pana swego musi się bać — w przeciwnym razie jego usposobienie drażliwe i nerwowe, łatwo może być powodem katastrofy. Ostrożność wobec charta jest zawsze wskazaną, bo chart ukąszenia nie uprzedza warknięciem albo podniesieniem nozdrzy — tylko chwyta nagle i bez uprzedzenia mimicznego. Bardzo trafnie charakteryzuje charta Aleksander Ubysz:

„Usposobieniem objawia swe wschodnie pochodzenie. Jak ludy zamieszkujące wschód, na pozór zimne, wrącą burzę w głębi duszy swej kryją i umieją zamaskować się zewnętrzną obojętnością i spokojem, a w danej chwili wybuchają gwałtownie, jak wulkan lub mina prochowa, tak też i chart. Na pozór zimny, łagodny — uderzony albo niespodziewanie dotknięty, lub nawet pogłaskany przez obcego nagle jak błyskawica rzuca się i kąsa“.

Chart europejski nie jest ani dobrym stróżem w domu, ani też nie broni swego pana. W okolicach znów, gdzie człowiek kładł nacisk na to, by chart stróżował i bronił dobytku swego pana — tam spełnia on swą pracę tak jak i inne rodzaje psów. Zauważamy to u chartów afrykańskich.

W Kordofanie, Sudanie brytyjskim, we wsi Melbess, gdzie Hilzheimer dłuższy czas przebywał, w każdej prawie zagrodzie było kilkanaście chartów. Były bardzo czujne i broniły gospodarstwa przed napadami hyjen i leopardów. Dziwne, że wobec lwów okazywały respekt i do walki z niemi nie można ich było nakłonić. Życie chartów zaczynało się właściwie dopiero w nocy. Skoro tylko zmrok zapadł, charty wyskakiwały na dachy domów i z tej wysokości, jak gdyby punktu obserwacyjnego, bacznie swym silnym wzrokiem przeszukiwały okolice. Skoro drapieżnik na odpowiedni dystans się zbliżał, pierwszy chart, który go zoczył, szybko zeskakiwał z dachu, a za nim, jakby na rozkaz, wszystkie inne charty z sąsiednich dachów i rzucały się całem stadem na intruza. Przepędziwszy go, albo zagryzłszy, wracały szybko na swoje wzniesione posterunki. Właściwem świętem tych psów była chwila, gdy róg myśliwski zwoływał je na polowanie. Mieszkańcy tamtejsi urządzali polowania w olbrzymich kotłach. Psy podprowadzano pod las i zaczęły się gonitwy. W kotłach znajdywały się antylopy, zające, lisy stepowe, dzikie psy i inna zwierzyna. Rzadko które zwierzę potrafiło się wymknąć cało z pierścienia.

Dla tamtejszych mieszkańców stałych, albo koczujących chart był bardzo cennym i poszukiwanym zwierzęciem.

Charty spotyka się w całej północnej Afryce. Najlepsze i najrasowsze charty afrykańskie są maści czerwonożółtej i krótkowłose.

Perski chart jest długowłosy a na uszach ma długie, jedwabiste frendzle.

Rosyjski chart jest podobny do perskiego.

Inaczej wygląda chart brytyjski, szkocki ((Deerhound), irlandzki Greyhound i Wippet. Różnica polega na odmiennej nieco budowie czaszki.

O pochodzeniu ras chartów poglądy są niejednolite.

Niektórzy kinologowie, między nimi i Studer, wątpią w jednolitość pochodzenia charta i dzielą je na grupę północną i południową.

Do grupy północnej włączają Deerhounda, irlandzkiego charta i krótkowłosego Greyhounda. Jako ojczyznę północnego charta uważają Brytanję i północno-zachodnią Galję.

Do grupy południowej zaliczają resztę chartów i praojcem ich uznają szakala indyjskiego krzyżowanego z psem Pariasem zachodniej Afryki.

Inni znów kinologowie, choć również dzielą je na dwa zasadnicze typy, sądzą, że praojcem chartów europejskich był wschodnio-południowy wilk stepowy.

Najtrafniej, według mnie, pochodzenie chartów ujął prof. Dr. Keller. Muszę tutaj podkreślić, że źródłowość prac prof. Kellera i obfity materjał porównawczy, nadaje pracom jego charakter nietylko wysoce naukowy, ale i bardzo wierny.

Dr. Keller zbija pogląd niektórych kinologów co do dwojakiego pochodzenia chartów i uważa, że chart we wszystkich swych odmianach pochodzi z jednego pnia. Ojczyzną charta była Etjopja z bytującym tam wilkiem abisyńskim, tak zwanym, Canis simensis.

Geoffroy St. Hilaire, v. Pelzeln, Ieitteles i inni tej dziedziny uczeni dzielą pogląd Dra Kellera.

Poważne okoliczności przemawiają za wnioskiem Dra Kellera.

Przedewszystkiem bardzo uderzającym jest fakt niezaprzeczalny, że dużo gatunków chartów jest rozpowszechnionych na całym obszarze północnej Afryki aż do górnych okolic Nilu.

W dalszym ciągu spotykamy dużo podobizn chartów na staroegipskich grobowcach, które sięgają poniżej 2000 lat przed Nar. Chr. Pana.

Prócz wyżej wyszczególnionych niezbitych dowodów o istnieniu ergo i pochodzeniu charta, posiadamy również i dokumenty anatomiczne, że Canis Simensis jest jedynym potomkiem charta.

Czaszka charta i Canis simensis są prawie jedne i te same. Wysokie chude przednie nogi a wyższe zadnie posiada i chart Canis simensis. Charty, z czasów Faraona, których dużo widzimy na ówczesnych dobrze zakonserwowanych malowidłach, mają ubarwienie takie same jak i wilk abisyński: na grzbiecie czerwono-żółte a brzuch białawy.

Na grobie Ti w Sakkarze widzimy charta z ogonem do góry podniesionym, jakoteż takiego z ogonem spuszczonym a na końcu puszystym, podobnie jak wilk abisyński.

Uzębienie charta i Canis simensis jest jednakowe. Kły tych dwuch zwierząt są równie długie i szpiczaste. Przedostatni ząb trzonowy górnej szczęki wilka abisyńskiego ma wystającą narośl-brodawkę. Ten sam kształt posiada z psów tylko chart. Taka forma uzębienia nie może być inną, tylko dziedziczną.

Na mocy powyższych anatomicznych danych, przyjąć trzeba za pewnik, że chart jest pochodzenia afrykańskiego. Ojczyzną jego jest górna część Nilu, gdzie i dzisiaj masowo jest rozpowszechniony. Tamże przebywa Canis simensis.

Ztamtąd importowali go ludzie Faraona i przywieźli do dolnego Egiptu a ztąd rozprzestrzenił się po przez całą północną Afrykę. Dzisiejszy północno-afrykański chart Beduinów, inaczej Slughi zwany, jest identyczny z chartem okresu Faraona.

Z północnej Afryki przewędrował chart do Azji.

W Azji mamy charta perskiego zwanego Tasi.

Do Europy przyszedł chart szlakami handlowemi przez morze Czarne na północ. Dzięki klimatowi przeistoczył się chart na północy w długowłosego charta syberyjskiego.

Nie jest wykluczonem, że na długowłosość charta rosyjskiego wpłynęło krzyżowanie rosyjskiego psa pasterskiego z chartem afrykańskim.

Stanowczo wyklucza pogląd prof. Kallmeyera, że na sierść charta syberyjskiego wpłynęła aż domieszka trzech gatunków psów: tatarskiego charta z długiemi uszami, północnego psa Lappów i Greyhound'a.

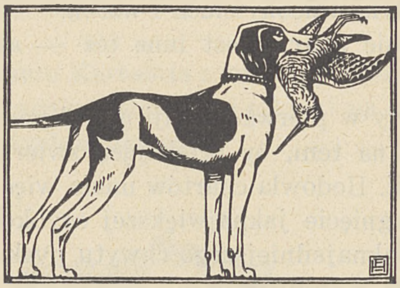
Tam gdzie powstały nowe odmiany przez krzyżowanie, tam zawsze alians odbywał się z najbliższym sąsiadem.

Fenicjanie wprowadzili charta do Brytanji. Tam skrzyżowany z molossem daje rasy chartów brytyjskich, gallijskich i celtyckich.

Przeciwnicy teorji pochodzenia charta z Canis simensis starają się udowodnić, że wilk abisyński nie mógł być praojcem charta, bo należy on do rodziny lisów a więc nie brał udziału w tworzeniu gatunków psów.

Powołuję się w tym wypadku na takie powagi w świecie uczonych jak Brehm i Troussart, którzy z całą stanowczością wilka abisyńskiego włączają do Canidów, a Huxley udowodnił, że Canis simensis posiada małą zatokę czołową i poluje jak chart stadami. Krańcowo różny charakter zoologiczny chartów wskazuje także i na inne pochodzenie jego, aniżeli reszty psów udomowionych.

C. d. n.



JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

O zwierzyńcu M. Pągowskiego w Warszawie

Szczupłą i skromną pracę niniejszą pragnę poświęcić opisowi powstania w Warszawie pierwszego zwierzyńca w odrodzonej Polsce, jakim był bezsprzecznie zwierzyniec p. M. Pągowskiego, obywatela warszawskiego, znanego w szerokich kołach stolicy miłośnika zwierząt.

Od 1921 roku rozpoczął p. P. usilne starania w Magistracie warszawskim w sprawie wydzierżawienia mu odpowiedniego placu, na którym mógłby założyć bodaj skromny zwierzyniec. Starania te spełzły na niczem. Magistrat ówczesny nie wykazał wiele zainteresowania ani zrozumienia wartości i potrzeby zwierzyńca w stolicy, a wreszcie niezdecydowana przez długi czas sprawa „Wielkiej Warszawy", przewlekała sprawę — zdawało się — ad infinitum.

Nie widząc znikąd jakiejkolwiek nadziei pomocy, postanowił p. P. oprzeć się na własnych siłach i wziął się do pracy, z własnym kapitałem 20.000 złotych. I niebawem urządził skromny zwierzyniec w ogródku podwórzowym, przy ul. Koszykowej 47, zgromadziwszy w krótkim czasie następujące okazy, zakupione w Marsylji u p. Bazylewskiego i nabyte w kraju: niedźwiedź brunatny, kangur australijski, jeżozwierz, aligator amerykański, aguti, 4 koty sjamskie, małpy afrykańskie, 4 małpki jawajskie, 2 koczkodany, 4 lemury, lis afrykański, około 30 papużek, liczne papugi a między niemi biała i różowa kakadu, zielona amazonka, żółw grecki, łania, daniel, 2 sarny, 2 puhacze, pustułka, różne sowy i sówki, bocian-Wicek, jastrząb, węże krajowe, wiewiórki, łasica-łaska, jeż i t. p.

Mając zwierzyniec zupełnie przygotowany do oddania go do użytku publicznego, zwrócił się p. Pągowski do Komisarjatu Rządu z prośbą o pozwolenie na otwarcie. Dnia 9 VI. 1926 roku, obejrzała specjalna komisja tę oryginalną imprezę w Warszawie i wydała swoją opinję, na mocy której nakazano p. P. zwinąć do dni 7 zwierzyniec, ze względów rzekomo sanitarnych.

Zarządzenie to było wysoce krzywdzące nietylko p. P. ale i mieszkańców stolicy, którzy oczekiwali otwarcia zwierzyńca, jak to czytamy na łamach ówczesnej stołecznej prasy. Po usilnych staraniach i chodzeniach po biurach i gabinetach, pisaniu odezw do społeczeństwa i t. p., uzyskał p. P. zmianę decyzji Komisarjatu Rządu, do czego przyczynił się w głównej mierze prof. uniw. Edward Loth.

Dnia 10 lipca 1926, nastąpiło otwarcie zwierzyńca wobec przestawicieli zawsze życzliwie nastrojonej prasy i licznej publiczności. I zdawało się, że odtąd wszystko pójdzie gładko. Lecz trzeba było jeszcze przejść jedną burzę, lecz tym razem nie długą. Oto w 24 godzin po otwarciu, zjawił się „dzielnicowy“ i nakazał zamknąć zwierzyniec, gdyż p. P. narazie oprócz ustnego pozwolenia, nie posiadał dowodu na papierze. Po długiej dyspucie zmiękł nieco „dzielnicowy“ i zgodził się zaczekać do dnia następnego, w którym to dniu p. P. otrzymał pisemne pozwolenie na otwarcie. Z tą chwilą nastały dla zwierzyńca dni spokojne.

Zainteresowanie się publiczności zwierzyńcem było nadspodziewane. W krótkim czasie wakacyjnym, kiedy szkoły opustoszały a wielu z inteligencji wyjechało na wywczasy, zwiedziło zwierzyniec 24.000 osób. Przekonano się dobitnie o potrzebie zwierzyńca. Wtedy władze skarbowe zwolniły p. P. od opłat państwowych, magistrat zaś od podatku miejskiego od widowisk. Pękły więc zapory nieufności i obojętności, o co jednak długo walczyć trzeba było.

Zwiększający się z dniem każdym napływ publiczności, zmusił właściciela do rozszerzenia Zwierzyńca. — W październiku 1926 r., przeniesiono okazy na teren znacznie większy, obejmujący zamiast dotychczasowych 750 m², powierzchnię 10.000 m². Przybyły też następupujące nowe okazy: jeleń, para dzików, para danieli, boa-anakonda, wąż czterogręgowy, 2 węże lamparcie. niedźwiedź biały polarny, niedźwiedź malajski, pancernik sześciopasiasty, 2 koty angorskie, ostronos brazylijski, nazwany Kostusiem, różne małpy, jak rudy koczkodan abisyński, 4 Rhesusy, 2 Saimiri, makaki, mandryl, małpka wełnista, pawian, Uistiti brazylijskie, 2 skoczki egipskie, wiwera, wilki, lisy, sarny, wydra, 2 borsuki, suseł, łasice, fretki, tchórz, chomik, myszki japońskie, szczury i myszy białe, 3 żółwie, jaszczurki włoskie, jeż, dwie wiewiórki, 4 świnki morskie, flamingi, struś, pingwiny, sowy, puhacze, jastrzębie, orły, sępy skalne, bażanty, sroki, zięby kolorowe i osiołek dla dzieci. Cały teren upiększono klombami, kwiatami i trawnikami. Zwierzęta otrzymały obszerne i jasne pomieszczenia. Służba łagodna, odnosząca się do zwierząt z wielkiem wyrozumieniem i prawdziwie ojcowskiem sercem. Publiczność natomiast różna, w większości jednak drażniąca zwierzęta i dokuczająca im. Wspomnę tu tylko, że wydra zginęła po dwudniowej męce, po wybiciu jej oka stalówką z piórem przez jednego z zwiedzających uczniów.

Charakterystyczną cechą wszystkich niemal zwierząt jest ich wielka łaskawość. Wiele zwierząt chodzi swobodnie między publicznością, daje się głaskać, a właściciel i służba bez obawy wchodzą do klatki niedźwiedzia polarnego.

W okresie największego rozwoju Zwierzyńca, złożył p. P. ponowną ofertę w magistracie, prosząc o bezpłatne wyznaczenie mu większego terenu, obowiązując się przenieść tam obecny Zwierzyniec, rozwijać go dalej a po omówionym okresie oddać wszystko, t. j. tak zwierzęta jak i zabudowania na własność miasta bez odszkodowania. Oferty tej nie przyjęto.

Magistrat miasta rozpoczął pracę około założenia „Miejskiego Ogrodu Zoologicznego“, budując w szybkim tempie pomieszczenia i nabywając liczne okazy. Owiany jak najlepszemi chęciami dla miasta sprzedał p. P. za tanie pieniądze wszystkie swoje okazy do miejskiego zoologu, likwidując swój zwierzyniec z dniem 1 września 1928 roku. Uważał bowiem rolę swoją za skończoną z chwilą, gdy miasto rozpoczęło budowę stołecznego zoologu.

P. Pągowski jako inicjator zwierzyńca w stolicy, oddał miastu niezaprzeczoną usługę. Byłoby rzeczą wielce wskazaną, by miasto zechciało przy obecnem organizowaniu własnego Zoologu, skorzystać z wiadomości, praktyki i rad chętnego zawsze p. Pągowskiego.

* * *

Będąc w lipcu przejazdem w Warszawie, zwiedziłem wspomniany miejski zwierzyniec. Odniosłem z niego wrażenie nadzwyczaj dodatnie. Zwierzęta utrzymane doskonale, czystość wszędzie wzorowa, służba uprzejma i widocznie przez zwierzęta lubiana. Zwierzyniec rokuje najlepszą przyszłość, w czem pomocny mu będzie obszerny i wspaniały teren parkowy. Dzisiejszy więc zwierzyniec warszawski można uważać za zaczątek, z którego powstanie niedługo wspaniały ogród zoologiczny, godny stolicy wielkiego państwa.

A. M.

Notatki bibljograficzne

Seweryn Krogulski. P ó ł w i e k u. Zarys działalności Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego. 1876—1926. Nakładem M. T. Ł. Lwów, 1929, str. 269, z portretem autora. Jestto osobne, książkowe odbicie dziejów naszego Towarzystwa, drukowanych w „Łowcu“ od roku jubileuszowego, t. j. od r. 1926, do roku bieżącego. Książka przedstawia się bardzo poważnie. Ukazanie się jej powita społeczeństwo łowieckie zapewne z uznaniem, obfitość bowiem materjału, nagromadzonego przez Nestora małopolskiego łowiectwa, a rozproszonego w ciągu całych lat w „Łowcu“ z trudnością tylko można było opanować. Praca p. Krogulskiego jest istną skarbnicą wiadomości, wspomnień i refleksyj, dlatego też będzie niezbędną w bibljoteczce podręcznej tych wszystkich, którzy interesują się naszem łowiectwem, przedstawicieli pokolenia nietylko starego, ale — i to przedewszystkiem, — młodego.

W .Z.

Rozporządzenie wykonawcze

Wojewody lwowskiego z dnia 6 sierpnia 1929. L. RL. 50 łow. o rozszerzeniu czasu ochronnego dla zajęcy i jeleni-byków na obszarze Województwa lwowskiego.

Na zasadzie art. 51 pkt a. rozporządzenie Prezydenta Rzplitej z 3 grudnia 1927 o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934) oraz § 1. rozporządzenia Ministra Rolnictwa z 17 marca 1928. (Dz. U. R. P. Nr. 45 poz. 448) zarządzam co następuje:

§ 1.

Ustanowiony w art. 49 czas ochronny dla zajęcy szaraków rozszerzam w roku 1929 na czas od 1 października do 15 listopada.

§ 2.

Ustanowiony w art. 49 czas ochronny dla jeleni-byków rozszerzam w r. 1929 na czas od 10 do 31 października.

§ 3.

Rozszerzenie czasu ochrony, wymienione w § 1 i 2 odnosi się do wszystkich powiatów Województwa lwowskiego.

§ 4.

Przekroczenie postanowień niniejszego rozporządzenia ulega ukaraniu w myśl przepisów rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z 3 grudnia 1927 o prawie łowieckiem (Dz. U. Rz. P. Nr. 110 poz. 934).

§ 5.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia w lwowskim Dzienniku Wojewódzkim.

Rozporządzenie

Wojewody stanisławowskiego z dnia 7 sierpnia 1929 r. o rozszerzeniu czasu ochronnego dla jeleni na całym obszarze Województwa stanisławowskiego.

Na podstawie art. 108 ustęp 1 pkt b. rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z dnia 19 stycznia 1928 o organizacji i zakresie działania władz administracji ogólnej (Dz. U. Rz. P. Nr. 11 poz. 86) art. 51 ustęp a. Rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z dnia 3 grudnia 1927 o prawie łowieckiem (Dz. U. Rz. P. Nr. 110 poz. 934) i § 1 Rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 17 marca 1928 o przekazaniu Wojewodom niektórych uprawnień Ministra Rolnictwa, wynikających z art. 51 rozp. Prezydenta Rzplitej z dn. 3 grudnia 1927 o prawie łowieckiem (Dz. U. Rz. P. N. 45 poz. 448) zarządza co następuje:

§ 1.

Zabrania się całkowicie polowania na jelenie w czasokresie od 10 października do dnia 31 października 1929 na całym obszarze Województwa stanisławowskiego.

§ 2.

Przekroczenie postanowień niniejszego rozporządzenia ulega ukaraniu w myśl przepisów rozporządzenia Prezydenta rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 o prawie łowieckiem (Dz. U. Rz. P. N. 110 poz. 934).

§ 3.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.



Korespondencje

Zakopane, 3 sierpnia 1929

Nie wywołuj wilka z Tatr

(odpowiedź p. redaktorowi W. Garczyńskiemu)

Jestem zdania, że na temat różnych palących zagadnień i bolączek myśliwskich zbyt mało dyskutujemy. Wielokrotnie różne sprawy poruszone przez tego lub innego myśliwego na łamach naszej tak ubogiej, a tak ufnej w siebie prasy myśliwskiej, pozostają zupełnie bez echa. Z drugiej znów strony często lada drobiazg, czy przeoczenie, które wszak każdemu może się przytrafić, wywołują kwasy, komeraże i wzajemne zniechęcanie się do pracy. A wszak tak łatwo jest czasem powiedzieć: zrobiłem błąd, trudno, każdemu może się to przytrafić.

Zawsze z pewnem zadowoleniem czytam krytykę tego co sam napisałem, w przekonaniu, że z takowej coś skorzystam i nauczę się,. Mniemam, że każdemu krytykowi chodzić winno przedewszystkiem o wyjaśnienie prawdy, a wyjaśnienie takowej musi sprawić autorowi zadowolenie, chociażby się okazało, że mylił się on początkowo. Czyż nie jest przyjemnie dać inicjatywę do ostatecznego wyjaśnienia jakichkolwiek faktów?

Myślę naturalnie o krytyce,stojącej na pewnym poziomie i o krytykach, którzy, chociażby nie byli pozbawieni pewnej kulturalnej złośliwości, potrafią zachować w krytyce odpowiedni ton, a przedewszystkiem umieją uszanować dobrą wolę autora.

Niestety przeczytawszy list p. mecenasa Garczyńskiego (patrz „Łowiec" Nr. 16, 1929), nie miałem żadnego zadowolenia, przeciwnie wzbudził on we mnie smutne refleksje.

Właściwie krytyka ta nic nie wyjaśnia, a dużo insynuuje. Nie powinienem być może na nią odpowiadać dla wielu powodów, a przedewszystkiem właśnie ze względu na owe insynuacje, zawarte w końcowej części. Czy są one słuszne? Czy intencje moje w mej działalności na polu łowiectwa szły w kierunku jątrzenia, czy propagowania zgody? Niech to osądzą inni. Na razie jednak muszę wytrzymać ten atak, nie tyle groźny, ile, jak słyszę, głośny.

Skoro więc o wilkach mowa i ów wilk z Tatr znów został wywołany, niechże mi wolno będzie raz jeszcze w tej sprawie głos zabrać. Ze względu na dobro sprawy łowieckiej jedynie, a nie dlatego, by „moje było na wierzchu".

Pisząc o owej wzmiance, zamieszczonej w „Łowcu Polskim" sądziłem, że jest to niedopatrzenie, które każdej redakcji się trafia. Normalnie redakcja, która poważnie traktuje swych czytelników, daje w następnym numerze

sprostowanie i sprawa jest załatwiona. W danym razie ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiaduję się, że redakcja „Łowca Polskiego", czy też p. redaktor Garczyński jest zdania, że dobrze się stało, iż wiadomość ta została wydrukowana. Tem też sobie tłumaczę, że sprostowania nie było.

Otóż ja jestem zdania, że jest zawsze źle, jeśli jakieś czasopismo podaje nieprawdę. Wynika to poprostu z moich przekonań.

Na swoją obronę p. redaktor Garczyński przytacza, że ubiegłej zimy wilki pokazywały się w wielu okolicach, nawet w takich, w których oddawna o nich nie słyszano. Ma to być dowodem, że mogły się pokazać i w Tatrach. Być może. Rzecz jednak w tem, że się nie pokazały. Jabym zresztą podobnej wiadomości nie uwierzył, dopóki nie miałbym potwierdzenia od osoby wiarygodnej, o co wszak było bardzo łatwo. Pan redaktor Garczyński uwierzył. Trudno, tem gorzej dla niego. Z tego, co o tej sprawie pisze, nie mogę nawet wywnioskować, czy dotychczas w nią wierzy.

Gdyby p. redaktor Garczyński zechciał się zdobyć na pewien objektywizm i wniknął w istotę tego, co napisałem, doszedłby niewątpliwie do przekonania, że poza stwierdzeniem faktu, że wilków nie było, chodziło mi przedewszystkiem o styl wzmianki, po drugie zaś o sprawę przedruku.

Jeśli język, którym opisano zajście, p. redaktora Garczyńskiego nie razi, to ja, niestety, nic na to poradzić nie mogę. Mnie razi bardzo, tak samo jak raziłby mnie na stanowisku w kniei pan ubrany we frak i cylinder, chociażby zabił on na tem stanowisku nawet kilka wilków. I to nawet tembardziej.

Pan mecenas Garczyński ubolewa nad tem, żem nie opisał dokładnie tego, cobym zrobił, otrzymawszy podobną wiadomość. Mam wrażenie, że ma to być złośliwość, albowiem każdy myśliwy wie dobrze, co się w takich razach robi. Tak, czy owak, nie chciałem członków redakcji „Łowca Polskiego" o walce z wilkami pouczać, gdyż wiem dobrze, że są między nimi tacy, którzy się na tem lepiej ode mnie rozumieją. Zaś tym, którzy słusznie są żądni wiedzy, z całą gotowością służę wykazem odpowiedniej literatury. Nawiasem dodam, że czytanie, szczególnie literatury starszej, daje nietylko dużo wiadomości, ale wyrabia również poczucie języka łowieckiego i stylu.

Pisze dalej p. redaktor Garczyński, że „Łowiec Polski" przedrukami z pism codziennych się nie posiłkuje. Doprawdy w tem miejscu... jestem trochę zażenowany. Nie mniej nie pozostaje mi nic innego, jak stwierdzić, że owa wzmianka w „Łowcu Polskim" jest jednak prostym przedrukiem. Naturalnie niema to żadnego znaczenia, jeśli została ona uprzednio ręcznie przepisaną.

Zarzutem nierzeczowości, który to zarzut stawia mi p. redaktor Garczyński, nie przejmuję się. Uważam to za nieudany zwrot stylistyczny. Jest bowiem moja krytyka bardziej rzeczowa, niż odpowiedź p. Garczyńskiego. Piszę w niej tylko o samym temacie, który poruszam i piszę, jak sądzę, bardzo konkretnie.

Z ostatniego ustępu listu p. Garczyńskiego wynika, że redakcja „Łowca Polskiego" uważa mnie za swego wroga. Jest mi to przykre. Na zarzut ten nie zasłużyłem. Sądząc jednak, że p. Garczyński zarzut ten stawia mi ze względu na dobro łowiectwa, wybaczam mu chętnie i łatwo. Sprostowanie błędu, w który popada p. Garczyński należy mi się jednak.

Gdybym nie sądził, że sprawę raczej zakończyć trzeba, zadałbym p. mecenasowi Garczyńskiemu pytanie: na czem polega owa moja „zaciekła i trudna do zrozumienia w swych powodach napaść"? Czy napaścią jest sprostowanie błędu? Czy z artykułu mego nie wynika wyraźnie, że chodzi mi o dobrą sprawę? Nie sądzę, że przyjaźń dla danego pisma ma się objawiać w bezkrytycznym zachwycie do wszystkiego, co jest w nim wydrukowane. Nie byłem nigdy członkiem żadnej partji politycznej i być może dlatego nie potrafię czytać w niemem uwielbieniu wszystkiego, co jest w moim organie wypisane.

A „Łowiec Polski" jest organem związku, do którego należę i jestem jego przyjacielem, czy w to redakcja zechce uwierzyć czy nie. Jako myśliwy zrzeszony w „C. Z. P. S. Ł." mam prawo wymagać i dbać o to, by czasopismo, które tego związku jest organem, stało na możliwie wysokim poziomie i by to, co jest w niem drukowane, było poddawane uprzedniej krytyce. A jeśli prywatne moje uwagi na ten temat nie znajdują posłuchu, to mam prawo ogłosić je publicznie. I to tam gdzie chcę. A że wstrętną mi jest zaściankowość i wszelki patrjotyzm dzielnicowy, że równie bliskim i drogim jest mi „Łowiec", jak „Łowiec Polski", więc ogłosiłem to w „Łowcu" w tem przekonaniu, że to właśnie wywrze pożądany rezultat. Tak samo nie zawahałbym się w „Łowcu Polskim" ogłosić swych uwag na temat czegoś, co nie podobałoby mi się w „Łowcu".

To nie jest napaść Panie Mecenasie! To jest tylko zwrócenie uwagi. Jak zajdzie potrzeba, będę ją zwracał i nadal. Może wówczas na szpaltach „Łowca" ujrzymy jeszcze nazwisko p. mecenasa Garczyńskiego, który niestety po raz pierwszy dał się w nim poznać, jako autor. A jeśli to współpracownictwo z musu przejdzie we współpracownictwo z przekonania, to może dojdzie do większego zbliżenia między „Łowcem Polskim" i „Łowcem" i większego skonsolidowania łowiectwa polskiego, a to dla mnie, jak też bezwątpienia i dla p. Garczyńskiego, jest najważniejsze.

Janusz Domaniewski

Ostrobuż, 4 sierpnia 1929

Do artykułu „Nasze myszołowy"

Nie stać mnie na to, aby wdawać się w dysputę z p. Przedrzymirskim, o cnotach myszołowów. Do tegom nie dorósł.

Nie pogniewa się na mnie przezacny pan Aleksander, jeżeli Mu powiem, że trudno mi jakoś pogodzić się z myślą, że powinienem więcej wierzyć Jemu, niż moim własnym oczom.

Ja niejednokrotnie, a nadto tej zimy, często widziałem rzeczy wręcz przeciwne Jego twierdzeniu.

Myślę, że na podstawie naszej półwiekowej znajomości uwierzy mi p. Przedrzymirski, iż umiem niezawodnie odróżnić oba myszołowy od gołębiarza, krogulca lub sokoła i że sojka nie jest dla mnie ptakiem nieznanym.

Z tą zatem wiarą, zastrzegając się z góry, że niema w mojem opowiadaniu myłki co do „osoby", stwierdzam, że w zimie ubiegłej zastrzelono u mnie 7 myszołowów bądźto bijących na kuropatwy, bądźto pożerających przez siebie ubite kuropatwy.

Nadto w Tehlowie widziałem, jadąc razem z p. Dr. W. Zakliką, jak myszołów bił kilkakrotnie na stadko kuropatw, tak, że myśmy musieli co rychlej podjechać na obejście gr. katolickiego probostwa, aby uchronić kuropatwy przed tym drapieżnikiem, który tam je atakował.

Gdyby tu chodziło o jednego myszołowa, który wbrew wrodzonym cnotom myszołowów, wyrodził się i stał się niszczycielem zwierzyny, to pomyślałbym, że przecież i wśród częstochowskich Paulinów znalazł się Macoch i zostałbym z całem uznaniem dla cnotliwości myszołowów. Tych jednak 7 myszołowów, zastrzelonych w Ostobużu na gorącym uczynku i ósmy atakujący w Tehlowie kuropatwy, na których niszczycielskie postępki własnemi patrzyłem oczyma, nie pozwalają mi inaczej patrzeć na myszołowa, jak tylko jako na szkodnika zwierzostanów.

Kazimierz Wysocki

Podkamień ad Brody

Dnia 19 lipca wyszedłem wczesnym bardzo rankiem ze sztucerem do lasu, w młodniku usłyszałem jakieś dziwne szczekanie i chrząkanie, a podszedłszy bliżej ujrzałem ciekawy i zabawny widok. Oto 2 lisy atakowały borsuka, poszczekując i uciekając przed jego natarciem, on zaś bronił się dzielnie, fuczał i krótkim galopem próbował wymknąć się napastnikom. Całe widowisko trwało dobrą chwilę, aż wreszcie przerwałem je, kładąc lisa trupem, borsuk i młody lis zniknęły w krzakach, ten drugi jednak nie uniknął losu matki, bo padł w pięknej dublecie wraz z ojcem w tydzień później.

Piotr hr. Sumiński

Komunikaty

Zawody strzeleckie we Lwowie.

Dalszym etapem akcji propagandowej, prowadzonej przez Zakłady Amunicyjne Pocisk S. A., obejmującej teren całego kraju, są obecnie organizowane wielkie zawody strzeleckie we Lwowie w czasie od 12 do 15 września włącznie.

Protektorat nad zawodami raczył objąć Dowódca D. O. K. Lwów, J. W. P. Gen. Bryg. Popowicz.

Strzelanie obejmować będzie następujące kategorje: Broń wojskowa, broń śrutowa i małokalibrowa.

Oprócz nagród, ofiarowanych przez Zakłady Amunicyjne Pocisk S. A., specjalne nagrody ofiarowała Dyrekcja Targów Wschodnich we Lwowie.

Program dokładny, który wraz z zaproszeniem pozwolę sobie przesłać Szanownej Redakcji, zawiera szereg urozmaiceń tak w strzelaniu z broni małokalibrowej, jak śrutowej, z których najciekawszem jest strzelanie o nagrodę sprawności i strzelanie do rzutków bez wywoływania.

Zgłoszenia przyjmują przed zawodami Zakłady Amunicyjne Pocisk S. A. w Warszawie, Mińska 25 — Okręgowy Urząd W. F. i P. W., Lwów, plac Bernardyński dla Stowarzyszeń P. W. — Firmy lwowskie: Lwowska Spółdzielnia Myśliwska, ul. Akademicka nr 3 i Eustachy Dmytrach, ul. Legjonów 3.

III. Podolskie strzelanie premiowe.

odbyło się w Czortkowie dnia 14 lipca 1929, urządzone staraniem miejscowego Towarzystwa Myśliwskiego, wśród 20 współzawodników we wszystkich strzelaniach i przy licznej publiczności płci obojga z miasta i okolicy.

Nagrody zdobyli:

1) z pistoletów na 25 kroków pierwszą, 384 punktów, Fr. Krajewski, pistolet tarczowy (dar wydziału M. T. Ł.), drugą Stan. Kuczkiewicz, trzecią por. Łabędzki.

2) w strzelaniu do tarczy stałej na 100 kroków, pierwszą 790 punktów Michał Krasnopolski (neseser podróżny, dar Dra J. Trzcienieckiego), drugą por. Chuderski, trzecią Kaz. Mostowski.

3) do dzika ruchomego na 100 kroków: pierwszą 19 punktów Michał Krasnopolski (obraz, dar starosty Fedorowicza), drugą por. Piotrowicz, trzecią por. Łabędzki, czwartą starosta Fedorowicz.

4) do lisa w biegu na 100 kroków: pierwszą 12 punktów por. Chuderski (srebrną papierośnicę, dar Wydziału powiatowego), drugą kap. Górka, trzecią Fr. Krajewski, czwartą Dr. Janusz Trzcieniecki.

5) do rzutków, zwyciężyła wszystkich pani starościna Fedorowiczowa, zbiła 10 rzutków 12 strzałami i jako pierwszą nagrodę otrzymała sztuciec Schönauer (dar Erazma hr. Korytowskiego), drugą nagrodę Stan. Kuczkiewicz, trzecią Kaz. Mostowski.

6) w strzelaniu dubletami, dzik w biegu na 100 kroków i rzutek, (3) pierwszą nagrodę za 3 dublety, zdobył Rudolf hr. Baworowski (kilim, dar Marcina Dembińskiego), drugą Michał Krasnopolski, trzecią starosta Fedorowicz.

Towarzystwo myśliwskie w Czortkowie, zachęcone dotychczasowem powodzeniem swojego strzelania popisowego, zamierza urządzać je rokrocznie, propagując myśl pana wiceprezesa M. T. Ł. A. Sandera, poruszoną na ostatnim zjeździe łowieckim we Lwowie, o strzelaniu w zespołach międzytowarzyskich — zaś wszystkim, którzy przez swoją obecność, ofiarowanie nagród i moralne poparcie do udatnego urządzenia tego przedsięwzięcia się przyczynili, składa serdeczną podziękę.

Czortków, w lipcu 1929.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32